NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata w Polsce: Kwart. bez odn. w miejscu 17700·— Mk. z przes. 18500·—Mk. Półrocznie 37000·— Mk. Rocznie 74000·— Mk. **Ameryka:** 8 dolarów rocznie. Numer pojedynczy 15 centimów.

Ceny ogłoszeń: Od miejsca wiersza milimetrowego jednoszpaltowego na str. ostatniej Mp. 200., od miejsca wiersza milim. jednoszp. w części redakcyjnej Mp 600.

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV. ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 479.

Należytość pocztowa opłacona ryczałtem. **Numer pojedynczy 1500 Marek.**

Rok XX. Kraków, 21 kwietnia 1923. Nr. 16.

Straszna katastrofa aeroplanowa w Krakowie



(Rycina do artykułu na stronie drugiej).

TREŚĆ NUMERU: Straszna katastrofa aeroplanowa w Krakowie. – Nad grobem Sary Bernhard. — Zmierzch de Valery. – Jubileusz dyr. Opery warszawskiej – „Czupurek“ B. Hertza na scenie krakowskiej — Ofiary nauki – Zgon bohatera z nad Marny. – Z sali koncertowej. i. t. d.

Straszna katastrofa aeroplanowa w Krakowie.

(Do illustracyi tytułowej i illustracyi w tekście).

Kraków stał się znów widownią strasznej katastrofy aeroplanowej, której ofiarą padły 3 osoby, a 7 odniosło cięższe lub lżejsze rany. Korzystając z pięknej pogody, trzy aeroplany S. V. A., należące do drugiego plutonu lotniczego, wykonywały we czwartek, d. 12 b. m. loty. Około g. 3 m. 30 po południu jeden z nich, prowadzony przez lotnika plutonowego Stefankowa z por. obserwatorem Dąbrowskim rozpoczął wykonywać przepisane ćwiczenia, którym przyglądała się z zainteresowaniem publiczność. Nagle aparat został wprowadzony w tak zwany „korkociąg", a przechodnie na ulicy Basztowej zauważyli, że aparat zaczął skośnie spadać. Jak się okazało, oderwało się jedno skrzydło aparatu. Samolot jak kula spadł na dach domu Nr. 30 przy ul. Lubicz, przebił z niesłychaną siłą dach, podłogę strychu i opadł w mieszkaniu 2 piętra, zamieniając je momentalnie w kupę gruzów. Motor eksplodował i w jednej chwili cały dom stanął w płomieniach. W mieszkaniu tem spał wówczas piekarz okręgowego zakładu gospodarczego, Józef Ziarkowski. Żona jego przed kilku dniami wyjechała do krewnych, 13-letnia zaś córka wraz z dwojgiem młodszego rodzeństwa wyszła na spacer. Silny wybuch benzyny z chwilą upadku samolotu wywalił drzwi i okna mieszkania Ziarkowskiego. Sam Ziarkowski został w jednej chwili zwęglony. Pod szczątkami aeroplanu znaleziono później ciało pilota Stefankowa, spalone doszczętnie. Porucznik Dąbrowski zaś, w chwili, gdy aparat spadał i znajdował się jeszcze o kilkadziesiąt metrów nad domem, wyskoczył z aparatu, chcąc tym rozpaczliwym wysiłkiem uratować się. Niestety, nieszczęśliwy oficer spadł na dach domu przy ul. Rakowieckiej, odbił się i wpadł na poręcz ganku 1-piętra, łamiąc sobie kręgosłup i ponosząc śmierć na miejscu.

Natychmiast po upadku aparatu wybuchł gwałtowny pożar, który w ciągu kilku minut strawił nietylko mieszkanie Ziarkowskich, ale i sąsiednie. Ciężkie rany odniosły lokatorki domu: Ziemkowska z synem, Kaczorowska, Mazurowa, Kryszkowa i Ogarkowa. Pastwą płomieni padły ogółem 4 mieszkania.

Wkrótce po wypadku, o którym wiadomość rozniosła się lotem błyskawicy po mieście przybyła straż ogniowa, pogotowie lotnicze, wojskowe pogotowie ratunkowie i żandarmerya wojskowa. Straż ogniowa przystąpiła natychmiast do akcyi ratunkowej. Część strażaków skierowaną została do wydobywania zwłok — część zaś do gaszenia pożaru i usuwania grożących spadnięciem pewnych części sufitu oraz do uprzątnięcia sprzętów mieszkalnych. Akcya ratunkowa, w której brało udział 2 plutony, trwała przeszło 4 godziny.



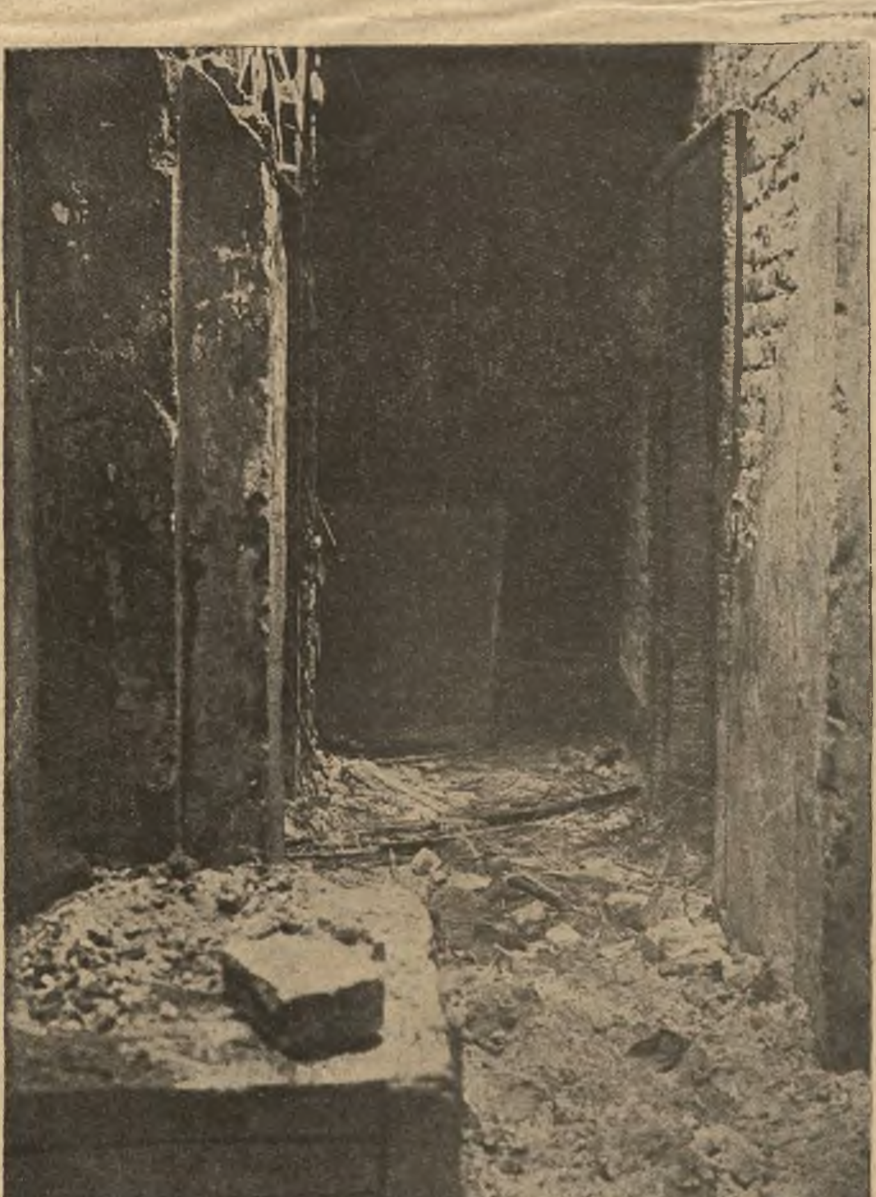
Straszna katastrofa aeroplanowa w Krakowie: Wnętrze spalonego mieszkania, w którym zginął ś. p. Ziarkowski.

Wbrew pogłoskom aparat, który uległ katastofie, nie był wysłany jako asysta w czasie odbywającego się w tym czasie pogrzebu artysty dramatycznego ś. p. Nowackiego. Według opowiadań oficerów-lotników, katastrofę zauważyli piloci dwóch innych szybujących aeroplanów i w silnem zdenerwowaniu wylądowali na lotnisku w Rakowicach. Wskutek nieopatrznego lądowania jednego z pilotów, aparat jego uderzył silnie o ziemię, łamiąc koła. W ten sposób pierwsza katastrofa omal nie pociągnęła za sobą nowej.

Ofiara katastrofy ś. p. por. Tadeusz Dąbrowski należał do najdzielniejszych lotników polskich. Liczył on 24 lat. Jako obserwator nie miał równych. Ukończył szkołę „radio" i był kierownikiem plutonu radio w pułku krakowskim. Aparat prowadził stale niezwykle ostrożnie, a przytem umiejętnie. Ostatnio wsławił się ustanowieniem rekordu lotniczego przebywając drogę do Warszawy w towarzystwie podpułk.-pilota Abakanowicza w jednej godzinie i 28 min. Przed niespełna zaś dwoma tygodniami ś. p. por. Dąbrowski odbył lot jako obserwator nad Tatrami, dokonując dla Muzeum Tatrzańskiego, wspaniałych zdjęć naszych gór.

Ś. p. Franciszek Stefankow liczył lat 22. Ukoń-





Straszna katastrofa aeroplanowa w Krakowie:

Zniszczony wybuchem dom przy ul. Lubicz L. 30.

Korytarz zdemolowanych mieszkań na 2 piętrze domu przy ul. Lubicz L. 30.



Straszna katastrofa aeroplanowa w Krakowie: Ś. p. por. Tadeusz Dąbrowski.



Straszna katastrofa aeroplanowa w Krakowie: Sp. Józef Ziarkowski.



Jubileusz dyrektora Opery warszawskiej: Dyr. Henryk Kowalski, główny reżyser Opery warszawskiej.



Straszna katastrofa aeroplanowa w Krakowie: Ś. p. Franciszek Stefankow.

czył wyższą szkołę lotniczą w Grudziądzu. Był doskonałym i pewnym pilotem — mimo swej młodości nigdy nie „fantazyował“ w powietrzu, nie chcąc się narażać na katastrofę.

Ofiary nauki.

(Do illustracyi na str. 9).

Ludzie nauki, pracujący w swych laboratoryach, jak żołnierze narażają się często na śmierć i kalectwo. W dziejach kultury mamy wielu takich męczenników nauki, którym ludzkość zawdzięcza postęp i zdobycze wiedzy. Do nich należą uczeni, zajmujący się obecnie badaniem radium, które przez ciągłe działanie powoduje często takie uszkodzenia rąk, że konieczną staje się amputacya. Taką ofiarę na ołtarzu nauki złożył niedawno uczony francuski, dr. Soret, któremu, skutkiem działania radium, musiano amputować wskazujący palec u prawej ręki. Na ilustracyi naszej widzimy dra Soreta w klinice po dokonanej operacyi. Przy jego łożu stoi Karol Vailant, głośny uczony, również, jak dr. Soret, ofiara nauki. I on skutkiem działania radium ma amputowane obie ręce! Nie powstrzymuje to jednak uczonych od dalszej pracy dla dobra ludzkości.

Zmierzch de Valery.

Nadanie Irlandyi praw samorządowych i wcielenie jej w skład wielkobrytyjskiego imperyum, jako samoistnego dominium, nie zadowoliło najskrajniejszych republikanów irlandzkich, grupujących się około osoby de Valery. Zaciekłą walkę, prowadzoną przedtem przeciw rządowi angielskiemu, skierowali oni przeciw prowizorycznemu rządowi irlandzkiemu, stosując wszędzie najdalej posunięty terror, mający służyć do utrzymania w posłuchu obałamuconych obietnicami wolnościowemi mas ludności. Ta taktyka rewolucyjnego rządu de Valery nie różniła się niczem od metod sowieckiej Rosyi, nie brakło nawet danych, że rewolucyjny ruch irlandzki wspomagany jest materyalnie i moralnie przez Moskwę. Zniechęcenie ku de Valerze wywołał u sfer umiarkowańszych także fakt, że rewolucyjną swą agitacyę szerzył on głównie wśród nieletniej młodzieży i kobiet i oni padali przeważnie ofiarą jego wywrotowej polityki, nie liczącej się ze środkami, byle osiągnąć skutek, a tym



Straszna katastrofa aeroplanowa w Krakowie: Zdemolowany wybuchem strych i dach w domu przy ul. Lubicz L. 30.



„Czupurek" B. Hertza na scenie krakowskiej: Przybłęda (p. Mazarekówna) i Bażant (p. Białkowski).
Fot. art. Kuczyński. Kraków.



„Czupurek" B. Hertza na scenie krakowskiej: Afisz reklamowy „Czupurka", wykonany przez zakład fotograficzny p. Kuczyńskiego.



„Czupurek" B. Hertza na scenie krakowskiej: Papuga (p. Bracka). Fot. art. Kuczyński. Kraków.

miało być zupełne usamowolnienie państwa irlandzkiego.

Ruch wolnościowy irlandzki pociągnął za sobą nieobliczalne wprost straty. Ofiarą jego padł kwiat ludności, za niego położyli życie umiarkowańsi politycy jak Griffith i inni, ogniem i mieczem zniszczono najpiękniejsze okolice kraju, aby zadość stało się uporowi de Valery, który powiedział sobie, że musi postawić na swojem.

Bratobójcza walka, jaka rozgorzała w Irlandyi między zwolennikami de Valery, a stronnikami irlandzkiego rządu, ma się obecnie ku końcowi. Likwidacya wypadła na niekorzyść de Valery, który uległ w walce z wojskami rządowemi i dostał się podobno do niewoli. Równocześnie rozpoczęto energiczną akcyę przeciw rewolucyonistom tak w kraju, jak i na terytoryum angielskiem, gdzie w dniu 12 marca b. r. dokonano wczesnym rankiem masowych aresztowań Irlandczyków. W Londynie, Birminghamie, Liverpoolu i t. d. uwięziono przeszło sto osób obojga płci, które następnie na pokładzie krążownika *Castor* przewieziono do Dublina, gdzie osadzono je w więzieniu, a rząd irlandzki wdrożył przeciw nim postępowanie karne.



„Czupurek" B. Hertza na scenie krakowskiej: Kaczka (p. E. Sokolska) i Gęś (p. Z. Zaleska).
Fot. art. Kuczyński. Kraków.

„Czupurek" B. Hertza
na scenie krakowskiej.

Niezwykle miłe i wesołe widowisko zgotował znany bajkopisarz p. Benedykt Herzt swym „Czupurkiem" na scenie krakowskiej. Dowcipny dyalog i wesołe sceny stworzyły całość pełną humoru i życia. Przed oczami widzów przesunęli się mieszkańcy podwórza: kogut, gęsi, kaczki, indyczki, a wreszcie arystokratyczny bażant i papuga. Rozgrywa się przytem i wesoły „dramat" w tym „reuesansie podwórka". Stara kwoka chce swego sy- nalka „czupurka" koniecznie wykierować na ba- żanta i poślubić go z papugą. Na tem tle rozwija się cała akcya sztuki — świetna w pomysłach





Zmierzch de Valery:

Przybycie do Dublina aresztowanych w Anglii rewolucyonistów irlandzkich.

Przewożenie rewolucyonistów irlandzkich z portu w Dublinie do więzienia w Mountjoy.

JADWIGA MIGOWA.

Odmłodzenie dra Wyrobkówny

(POWIEŚĆ FANTASTYCZNA).

5)

— Tak będzie najlepiej... — zgodziła się pani Barbara — Helu! spójrzże na to dziecko... Przekonasz się sama, że to fenomen...

Hela niechętnie podeszła do łóżeczka. Młoda dziewczyna i niemowlę popatrzyły sobie w oczy. I odrazu zadrgała pomiędzy niemi fala wzajemnej antypatyi... Dziecko rozkrzyczało się i zaczęło bić piąstkami, a Hela rzuciła gniewnie:

— Rzeczywiście fenomenalnie brzydki bachor!... Taka stara twarz!... Zupełnie nie robi wrażenia dziecka!... Jestem przekonana, że to będzie najnieznośniejsze stworzenie pod słońcem...

— W każdym razie mniej nieznośne od ciebie!...

— Jeżeli już mamy brać jakie dziecko stąd, to wolałabym tego ślicznego chłopaczka z czarnemi oczętami...

— Moja kochana, kto się ciebie pyta — cobyś ty wolała!... Proszę nie rezonować!... Idziemy już!... Siostro!... najpóźniej za dwadzieścia minut oczekuję siostry z malutką!... Hela! na razie w twoim pokoju trzeba będzie przygotować łóżeczko dla dziecka!...

Hela wyciągnęła przed siebie ramiona:

— Geldsznuperze przybywaj!...

— — — — — — — — — — — — — — —

Koło godziny dziesiątej wieczorem uciszyło się w domu pani Żureckiej. Sama pani domu udała się wcześniej niż zwykle na spoczynek, skarżyła się bowiem na ból głowy. Dziewczynkę przywiezioną przez siostrę Elżbietę ze żłóbka pozostawiono pieczy Heli pomimo, że dziewczyna wzbraniała przed przyjęciem współlokatorki do swego pokoju.

Nic jednak nie pomogło. Ciocia orzekła, że dopóki nie znajdzie się odpowiedniej niani, Hela zająć się dzieckiem musi. Pomimo usilnych protestów umieszczono dziecko w jej pokoju.

Na razie nie miała powodu do specyalnych skarg — niemowlę napojone mlekiem ze smoczka zachowywało się bardzo cicho, zadziwiająco cicho — jak na swój młodociany wiek... Nie przejednało to jednak młodej dziewczyny dla małego intruza, bo ustawicznie odnosiła wrażenie, że dziecko śledzi każdy jej krok swemi niesamowicie mądremi oczami.

— Dlaczego ten przebrzydły bachor nie śpi? tylko patrzy się i patrzy, jakby chciał coś wyszpiegować!... — irytowała się i zbierała ją ochota, aby zupełnie spokojnie leżącemu dziecku wymierzyć porządnego klapsa. Bała się jednak, że mogłoby się rozkrzyczeć...

Hela naogół zresztą lubiła dzieci i jeżeli się jej jakie dziecko podobało, mogła się z niem bawić i pieścić godzinami całemi. Do tej wszakże znajdki od pierwszej chwili czuła żywiołową antypatyę. Przytem dziecko zawadzało jej ogromnie jeszcze z innego powodu.

Zostawszy samą Hela zmieniła granatową sukienkę na różowy markizetowy szlafroczek, zdobny ciemniejszemi nieco koronkami — o rękawach bardzo długich i bardzo szerokich, z których wysuwały się jej śliczne, toczone, krągłe ramiona. Zdjęła również bronzowe półbuciki a przywdziała na cielistą jedwabną pończoszkę pantofelki ze złotego brokatu... Poprawiła sobie przed lustrem bujne, kasztanowate, starannie ondulowane włosy, przesunęła puszkiem od pudru po policzkach i natarła sobie ręce, szyję i gors perfumami... Wszystko to czyniła z wielką uwagą... Widocznie chodziło jej o to, aby wyglądać tadnie i ponętnie... Cel to był nietrudny do osiągnięcia, albowiem Hela — choć nie żadna klasyczna piękność — była w pełnem tego słowa znaczeniu ładną, powabną kobietą, czarującą tem czemś osobliwem, co Francuzi nazywają „beauté du diable"...

Zaledwie ukończyła swoją toaletę, gdy pod balkonem dało się słyszeć niegłośne gwizdanie... Ktoś bardzo melodyjnie gwizdał „Tango marzenia"...

Hela pobiegła na balkon i jakby w odpowiedzi zanuciła zcicha:

„Tango kochania,
Tango mych śnień!...
Świat mi przesłania
Twój cudny cień..."

Szmer jakiś głośniejszy.. szept... i za chwilę Hela ukazała się znowu w kręgu światła, nie sama jednak... Za nią szedł pobłyskujący czarnemi oczyma Feliks Rawski... Hela zamknęła drzwi balkonu...

— Heluśka!...

— Felek!..

Zwarli się w gorącym uścisku... Usta ich młodą, purpurową krwią nabrzmiałe złączył długi, bardzo długi pocałunek...

Niemowlę poruszyło się niespokojnie, zatrzepotało rączynami... Młodzi nie zwracali na to uwagi.

Feliks skończywszy jeden pocałunek, chciał odrazu przystąpić do dalszego ciągu, ale Hela wyrwała się mu z ramion.

— Poczekajno!... mam z tobą na piwo!...

— O co?!...

— Dlaczegoś się przedwczoraj spóźnił?!

— A dlaczegoś ty na mnie nie czekała?... Myślisz, że nie wiem dlaczego!... Poszłaś z Antkiem na spacer!...

— Nie zawracaj głowy Antkiem!... Pytam się raz jeszcze dlaczegoś nie przyszedł na czas?

— Nie mogłem...

— Aha!... nie mogłem... czemuż to — jeśli wolno zapytać?... Tamta randka tak długo trwała? — ironizowała Hela, broniąc się wyciągniętem w całej długości ramieniem przed nowym uściskiem.

— Gdzie tam randka!... Spóźniłem się przez najnudniejszą w świecie babę...

— Nie mówiłam... kobieta!...

— Co znów za kobieta!... To mój profesor z uniwersytetu...

— Profesor?

— No tak, wiesz — ta słynna dr. Wyrobkówna.. musiałaś chyba o niej słyszeć...

— Rozumie się! za kogoż mnie masz... I cóżeś ty miał do czynienia z tą Wyrobkówną?

— Poszedłem do niej z prośbą, aby przejrzała skrypta ze swoich wykładów, które nasze koło przyrodników wydaje... A ona zamiast odpowiedzieć krótko i węzłowato, zaczęła się wdawać w rozmowę... O! zwyczajnie baba, choć i profesor... Siedziałem, powiadam ci, jak na szpilkach, ale nie mogłem być przecież niegrzeczny... Zwłaszcza, że ona będzie mnie pytać fizyki... A ja t-j fizyki... to niby nie bardzo tego... I dla tego uważasz...

— Uważam, że się coś strasznie plączesz!... Słuchajno, a ta dr. Wyrobkówna — to młoda jeszcze, przystojna?

— Skądże!... Mumia zasuszona i nadziana teoryą Einsteina!...

Dziecko w łóżeczku podrzucało w górę całem ciałem, jakby w nagłym ataku konwulsyi.

— A wiesz ty, mnie jakieś przeczucie mówi, że ten przemądry profesor-kobieta — to leci na ciebie!...

— Oszalałaś Heluś!... Ale poco my tyle o niej mówimy?.. o tej nudnej Wyrobkównie... Czy to nie mamy innych trochę milszych tematów do rozmowy?...

I Felek, chcąc odrazu okazać, jaki temat przypada mu najlepiej do gustu, przyciągnął do siebie dziewczynę... Jej nieduże, twarde, dziewczęce piersi oparły się na jego kamizelce.

— Ty łobuzie! ty!...

— Kochanie moje!...

Przeraźliwy wrzask niemowlęcia wyrwał ich z miłosnej ekstazy... To duch dra Wyrobkówny szarpany zazdrością krzyczał, nadymając gardło i pierś dziecka do niebywałych rozmiarów...

— Co to? — zawołał Feliks.

— Ach! to ten przeklęty bachor!...

— Co za bachor?! — rozejrzał się po pokoju i dopiero dostrzegł łóżeczko z dzieckiem...

— Hela!... co to za dziecko!... co to znaczy?!...

— Nie bądź waryatem!... cóż ty sobie wyobrażasz?!... To najnowszy bzik mojej ciotki!... znajdka ze żłóbka, której niańką mnie na razie mianowano... To są moje rozkosze domowe!...

Akademik podszedł bliżej i spojrzał na rozwrzeszczane dziecko, które pod wpływem tego wzroku nietylko uspokoiło się nagle, ale nawet uśmiechnęło rozkosznie, pokazując w całej rozciągłości bezzębne dziąsła.

— Co? przestała krzyczeć?... To ty chyba hypnotyzerem jesteś!...

Chłopak uśmiechnął się.

— Wiesz co? to dziecko mi kogoś przypomina...

— Kogóż to?

— To dziwne... to śmieszne... ale tak jakby było podobne do dra Wyrobkówny.. Coś takiego ma w oczach, co stanowczo ją przypomina...

Hela zastanowiła się.

— A gdyby tak... a gdyby... przecież na świecie wszystko jest możliwe.. A gdyby to było właśnie jej dziecko?...

— Także masz pomysły!... Ona to chyba możeu rodzića kumulator albo dynamomaszynę — ale nie dziecko!...

— Ale ona tobie jednak zajechała do głowy, że dopatrujesz się podobieństwa do niej... — zauważyła Hela podejrzliwie.

— Też sobie wybrałaś objekt do zazdrości!.. Przyniosę ci jej fotografię jubileuszową — to się uspokoisz...

— W starym piecu dyabeł pali...

— No, to dyabeł może — ale ja napewno nie będę... Dajmy już temu spokój... Hela!... Heluśka!...

Chylą się znowu dwie młode, piękne głowy ku sobie, ale zanim usta płonące spoić się zdołały — powietrze rozdarł krzyk niemowlęcia, jeszcze bardziej żałosny, jeszcze bardziej przenikliwy niż poprzednio...

Mimowoli odskoczyli od siebie.

— Znowu to dzieciaczysko!... Obudzi ciotkę!... służbę!...

— Poczekaj, może ja ją uspokoję!...

I znowu uśmiechem i spojrzeniem usiłował uciszyć dziecko... Wykonał nawet parę śmiesznych ruchów palcami, które miały dziecko zabawić i uspokoić...

Ale odmłodzona dr. Wyrobkówna nie dała się tym razem wziąć na lep męskiego podstępu... Zwłaszcza, że do rozterki duchowej przyłączyła się dolegliwość fizyczna... Zdarzył się jej wypadek, jaki chronicznie powtarza się u wszystkich osobników ludzkich w tak młodym wieku... czuła, że jej jest mokro... bardzo mokro i jednocześnie smutno... bardzo smutno... Więc krzyczała ile tylko płuca starczyły, aby choć w ten sposób ulżyć sobie...

— Może głodne... — zrobił przypuszczenie Feliks.

— A kto je tam wie... Zaraz spróbuję... Mam tu flaszkę z mlekiem...

Ale dziecko odmówiło przyjęcia pożywienia, wypluwało na pościel i ręce Heli oferowane mu mleko, wierzgało nóżkami, biło rączkami i wrzeszczało... wrzeszczało...

— Rany Boskie!... co z tym potworem robić?

— A może... wiesz... przecież to małe dziecko... rozumiesz...

— Aha!.. istotnie... — Hela zajrzała do łóżeczka — no, naturalnie — jezioro!... I ja to mam przewijać!...

Na chwilę mała uspokoiła się. Może się zmęczyła, a może też ucieszyła ją perspektywa otrzymania suchych pieluch...

— Nie irytuj się, Heluś — zaśmiał się Feliks — niech ci się zdaje, żeśmy już po ślubie i że to nasze...

Hela smutnie jakoś potrząsnęła głową i powtórzyła:

— Po ślubie...

— No co, Heluś, no co?...

Chciał ją przygarnąć do siebie, lecz dziecko rozdęło znowu płuca do krzyku odwołując ich do rzeczywistości...

— Zauważyłeś? — rzekła Hela — że ten bęben zaczyna wrzeszczeć wtedy, kiedy się mamy pocałować?... Możnaby poprostu pomyśleć, że jest zazdrosna...

— Hm... kto wie... może w tem dziecku — jeżeli wierzyć teoryi metapsychozy — pokutuje duch jakiejś kobiety, która niegdyś w dawniejszem bytowaniu kochała mnie... I teraz jest zazdrosna...

— A może to duch dra Wyrobkówny... — wyrwało się Heli nie wiedzieć dlaczego... O! tak jej przyszło coś do głowy.

Roześmiali się oboje z tej nieprawdopodobnej zgoła hipotezy.

— W każdym razie ta za głośno krzyczy... Jakby na potwierdzenie tych słów — dało się słyszeć wołanie:

— Hela!... Hela!... co się tam dzieje!...

(Ciąg dalszy nastąpi).

E. FEYDEAU.

MOJA SPOWIEDŹ

11) **Powieść z francuskiego**

Nie widząc w tem nic złego, zaprowadziłem je do parku Monceaux. Bawiły się tam parę godzin i nic się im nie stało. Gdyśmy powrócili, pani Chalis była w swym salonie w towarzystwie czterech osób. Dzieci poszły przywitać się z nią — ja się udałem do mego pokoju. Wkrótce przyszedł lokaj z oznajmieniem, że hrabina życzy sobie rozmówić się ze mną. Zeszedłem więc na dół.

Już w drzwiach salonu, domyślałem się z jej wzroku, iż zamierza zadać mi cios stanowczy.

Ujrzawszy mnie, wyciągnęła rękę, jakby chcąc dać do zrozumienia bym się nie zbliżał. Zostałem więc na progu.

Wtedy, wobec milczących gości, którym widocznie przykrą była moja sytuacya, wobec dzieci, zdziwieniem przejętych, powiedziała mi, „że prosiła bym nie wyprowadzał dzieci, że ona jest ich matką, i że ona tylko, ona jedna, ma prawo stanowić o tem, jak mają używać czasu, że powinienbym pamiętać o tem, że nie trzeba by się to powtarzało...".

Wszystko to powiedziane było tonem impertynenckim, spokojnym, słodko-grzecznym, który stanowi specyalną formę grubiaństwa u ludzi światowych.

Wystraszone dzieci pospieszyły oświadczyć, że one same nalegały na mnie, bym je wyprowadził na przechadzkę, i. że niesłusznie matka wymawia mi to.

Hrabina nakazała im milczenie i znowu poczęła do mnie mówić tym samym tonem, ciągle surowo spoglądając.

Znalazłem siłę do zrobienia uwagi, że „dzieci nudziły się w domu, a ponieważ wypogodziło się, sądziłem zatem, iż nie będzie nic niewłaściwego w tem, iż przejdą się nieco".

Powiedziałem to cicho, głosem drżącym, ciągle stojąc przy drzwiach. Hrabina odpowiedziała z tym samym spokojem, „że to bardzo źle, iż instrukcye przez nią dane, nie są wykonywane, i że na przyszłość życzy sobie by się to nie powtarzało, gdyż nie lubi być zmuszoną do robienia uwag, przykrych dla niej...".

Usłyszawszy te słowa, już otwierałem usta by odpowiedzieć, ale hrabina, zwracając oczy ku drzwiom, przy których stałem, zdawała się mówić: „Możesz odejść".

Tak też zrobiłem, przygnębiony upokorzeniem, jakiego doznałem wobec mało znanych mi ludzi. Ale, gdym się znalazł u siebie już, boleść moja wewnętrzna ujawniła się jękiem i łzami. Rzuciłem się na łóżko i łkałem, jak matka pokrzywdzona przez własne dziecię. Ona, którą tak szalenie kochałem, którą jeszcze teraz ubóstwiałem, ona tak mnie traktowała! I z jakiego to powodu? kiedy? W chwili, gdym wyświadczył jej tak wielką usługę!

Tarzałem się po łóżku, drąc pościel, w dziecinnych łzach i krzykach wywnętrzając wszystek wstyd i rozpacz, jakie mną miotały.

Przyszedł służący z oznajmieniem, iż podano do stołu. Poleciłem mu by przeprosił hrabinę, iż nie zejdę, bo czuję się cierpiącym. Musiała być bardzo zadowoloną z tego pretekstu, gdyż zapowiadał on zerwanie.

Po obiedzie przyszły do mnie dzieci. Biedne te małe istoty zrozumiały ile muszę cierpieć i to z ich winy; próbowały więc pocieszać mnie.

Byłem już nieco spokojniejszy i w myśli robiłem przegląd wypadków, które wytworzyły dla mnie tak opłakaną sytuacyę.

W większej części przypisywałem ją księciu Titiane. Nie mogłem już dłużej wątpić, iż znowu został kochankiem hrabiny. Przypomniałem sobie tysiąc szczegółów, dowodzących, że między nim a hrabiną istniało tajne porozumienie. Wszystko to oburzało mnie i gniewało.

Dzieci, uściskawszy mnie z oznakami szczerego przywiązania, właściwego młodemu wiekowi, poszły spać. Ja zaś począłem dalej rozmyślać i wreszcie, po raz pierwszy, zastanowiłem się z zimną krwią nad myślą wiecznego rozłączenia. Ale oddalić się tak nędznie, nie ulżywszy swemu sercu — to zdało mi się niemożebnem. Byłem jeszcze bardzo naiwny! Potrzebowałem wyjaśnień, a sądząc, że pani Chalis nie da mi ich, gdy będę prosił, postanowiłem zmusić ją do tego. Chciałem by wyjaśnienie nastąpiło jeszcze tego wieczora. Zamierzyłem zatem czekać, aż się goście oddalą. Okna mego pomieszkania wychodziły na dziedziniec, znajdowało się zaś ono w bocznem skrzydle. Mogłem więc widzieć okna salonu, wszystkie oświetlone.

Koło północy, słysząc jak kilkakrotnie otwierano i zamykano bramę za odjeżdżającymi, zszedłem na dół. Stanąwszy na pierwszem piętrze i schyliwszy się na poręczy schodów, ujrzałem dwóch lokai drzemiących na ławce, w sieniach na dole. W przedpokoju, z którego wchodziło się do apartamentów pierwszego piętra, nie było nikogo.

Otworzyłem drzwi buduaru i zdziwiłem się, zastawszy tam służącą hrabiny. Rękę miała opartą na drzwiach salonu i zdawała się podsłuchiwać, co się dzieje po drugiej ich stronie. Twarz jej i ruchy wyrażały wielki niepokój.

Służąca ta, rodem Niemka, zwana Gretchen, umiała swem przykładnem postępowaniem zjednać sobie szacunek całej służby pałacowej. Była bardzo dyskretna, wykształcona, i do pańtswa nadzwyczaj przywiązana. Wieczorem zwykłe przesiadywała w garderobie, znajdującej się po drugiej stronie przedpokoju, gdzie czekała na panią by ją rozebrać.

Jak to się stało, żem ją spotkał w buduarze? I co się tam działo, że była tak wzruszona?

Ujrzawszy mnie krzyknęła cicho i wyszła na palcach, nie mówiąc ani słowa. Wszystko to odbyło się tak prędko, iż nie miałem czasu o nic pytać. Przytem inna jeszcze okoliczność zwróciła moją uwagę. Przybliżywszy się do drzwi salonu, usłyszałem odgłos kroków, i jakby stłumione jęki. Natychmiast otworzyłem drzwi.

Jakiż to widok przedstawił się oczom moim! Hrabina była sama z księciem Titiane... i książę Titiane... bił ją.

* * *

Bił jak furman. Nie dlatego tylko by ją upokorzyć, ale by bolało.

Hrabina była zdziwiona, oburzona, przerażona, a nie śmiała krzyczeć z obawy skandalu.

Cóż to zaszło między nimi? Nie wiem. Przypuszczam jednak, że naszyjnik musiał być powodem tej okropnej sceny.

Gdym wszedł do salonu, hrabina na wpół leżała na kanapie, usta miała zakrwawione, włosy w nieładzie, suknię podartą. Książę chwiał się jak pijany.

Rzuciłem się między nich, hrabina ujrzawszy mnie zerwała się rozwścieczona. Jednem uderzeniem odpędziłem księcia na dziesięć kroków. Potem podszedłem do hrabiny.

Szalałem z gniewu, boleści, wstydu i litości. Ale hrabina wysunęła się nagle z moich rąk i wskazując mi drzwi, zawołała:

— Wynoś się pan!

Zgłupiałem z podziwu.

— Jakto! — zawołałem — kiedy ten nędznik bije panią!

Hrabina odrzekła słowami Moliera:

— „A jeżeli ja chcę być bitą!".

* * *

O! Wtedy doznałem tylko jednego uczucia: odrazy! Nie znalazłem żadnej odpowiedzi. Widzieć, że nademnie przenoszą tego zwyrodniałego łotra, tego potwora, który w tej chwili umknął, nie rzekłszy ani słowa, którego napróżno szukałem wzrokiem, tego zdaje się, dość było! Ale w tej samej chwili słyszeć, jak do mnie się odzywa, to już oburzało mnie do najwyższego stopnia, tego było za wiele!

— Wynoś się pan! — krzyknęła znowu.

Wstyd jej było!

LXXVI.

Na drugi dzień rano, gdym był zajęty układaniem niewielu moich ruchomości w kufrze podróżnym, przyszły do mnie dzieci z zapytaniem, czy prędko zaczniemy lekcye.

— Niestety! — odrzekłem. — Nigdy już nie będziemy pracować razem, moje poczciwe chłopcy! Opuszczam wasz dom. Ostatni to już raz mnie widzicie!

Usłyszawszy to, zalały się łzami.

— Dlaczegóż nas pan opuszcza? Czy nie jesteś z nas kontent?

Posadziłem ich obu na kolanach i płacząc wraz z nimi, przyciskałem ich do serca, mówiąc:

— Owszem, zawsze byłem z was kontent i kocham was, jakgdybyście były memi własnemi dziećmi! Jesteście najlepsze, najmilsze stworzenia w świecie!

Wtedy starszy, objąwszy mnie za szyję, spytał:

— Dlaczegóż pan wyjeżdżasz, kiedy nas kochasz? Nie trzeba wyjeżdżać!

Zachwycający ten tyranik ściskał mnie z całej siły, swemi małemi rączkami.

— Co się z nam stanie bez pana! — powiedział młodszy.

— Macie matkę...

Milczenie, jakie nastało po tych słowach, miało w sobie coś przerażającego.

Zacząłem znowu:

— Macie także ojca, ojca, który może wkrótce powróci i nie opuści was już nigdy, nigdy...

— To nic, — odpowiedzieli oba razem — ale my jednak nie chcemy, żebyś nas opuszczał.

Zsadziłem ich z kolan i znowu począłem układać moje rzeczy. Wtem spostrzegłem, że starszy gdzieś znikł.

— Gdzie jest twój brat? — zapytałem młodszego.

Biedny mały pomagał mi płacząc, podawał szczotki, pantofle.

— Poszedł powiedzieć mamie, że pan nas opuszcza. Mama pewno nie dopuści do tego.

Niestety!...

Wkrótce potem przyszła Gretchen. Trzymała starszego za rękę. Ona także mnie zapytała:

— Jakto, pan się wynosi? O! cóż to za nieszczęście!

Wiedziała dobrze dlaczego opuszczałem dom. Dodała:

— Co pani powie na to?

— Jakto, więc synek nie widział jej?

— Nie. Nie kazała się budzić.

— Bądź pewną, Gretchen, że pani się pocieszy.

— A wszystkiemu temu — dodała — winien ten przeklęty książę.

Spojrzałem na nią. Twarz miała zaczerwienioną od gniewu. Wziąłem dzieci za ręce i zaprowadziwszy do ich pokoju, rzekłem:

— Przyrzekam wam, iż przed odjazdem przyjdę uściskać was i pożegnać się — a teraz zostawcie mnie samego z Gretchen.

— Coś to mówiła przed chwilą, moja kochana? — zapytałem ją.

— O! panie! ja nie wiem nic, prócz tego, że pani chyba jest zaczarowana przez księcia Titiane.

— Cóż może w nim znajdować?

— Czy ja wiem! Ponieważ pani potrzebuje codzień jakiejkolwiek rozrywki, jakiegokolwiek zajęcia, i to zawsze czegoś nowego... Przybywa książę, rozweseli ją, rozrusza i... Ach! — dodała smutnie — pan nie umiałeś sobie z panią poradzić! Ani pan hrabia również!

— Czy sądzisz, że hrabina będzie jeszcze widywać księcia, po szkaradnej scenie wczorajszej?

— Rozumie się.

— Jakto?

Gretchen odpowiedziała ze wstydem:

— To już nie pierwszy raz!

Nie mogłem powstrzymać wykrzyknika przerażenia, po chwili rzekłem:

— Więc, według twego zdania, należało tak radzić sobie?

— Co pan chce — odrzekła — pan hrabia i pan zawsze byliście zajęci rzeczami poważnemi. To wcale nie bawiło pani. A tymczasem on... najpierw sądzę, że pani się go boi — a przytem...

— Kończ!

— A przytem książę pobudza ją do śmiechu.

Czułem jak mi dreszcz przebiegł po ciele. Zacząłem znowu układać moją bieliznę w kufrze, z pospiechem człowieka, który sądzi, iż nigdy zbyt prędko nie uniknie wstrętnego mu widoku.

— Co się stanie z temi biednemi dziećmi? — zaczęła znowu Gretchen.

Podniosłem ręce ku niebu.

Gretchen mówiła dalej:

— Gdybyś pan uprzedził hrabiego o tem, że się oddalasz, nie wyjawiając mu powodu?

— Każdy inny mógłby to zrobić — ja nie mogę. Bo widzisz, Gretchen, nie trzeba się łudzić co do tego. Źle sobie postąpiłem zakochawszy się w cudzej żonie. Kara moja zawiera się w tem, że ze złego źródła nigdy nie wypłynie nic dobrego.

— Jak to pan mówi! — zawołała Gretchen.

— Mówię ze łzami. Mówię jak człowiek, który całe swe życie spędzi na ubolewaniu nad

swym błędem nie do naprawienia. Byłem młody, świat pociągał mnie wszystkimi swymi czarami! Któż w dwudziestym roku nie marzy o tem, by zostać kochankiem kobiety zamężnej? To tak pochlebia miłości własnej... tak jest dogodne! O jednem się tylko nie myśli: że za miłość takiej kobiety trzeba będzie odpokutować, odpłacić najnieczniejszymi czynami. Trzeba kłamać, zdradzać... kraść! A! tem gorzej! słowo się rzekło, nie ma co obwijać w bawełnę. A kiedy kto, mając przedtem duszę czystą, dojdzie aż do tego, to następnie wejdzie w takie jak ja obecnie warunki, jak i mnie widzisz moja kochana Gretchen — dojdzie do tego, że będzie gardzić samym sobą.

Niemka uścisnęła mi rękę i rzekła:

— Pan ją jeszcze kochasz!

— To jest właśnie najwyższa kara!

— I odjeżdżasz pan!

— Cóżbyś zrobiła na mojem miejscu?

— Zabrałabym chłopczyków i zawiozła do ojca.

— Ależ! moja poczciwa Gretchen! Znaczyłoby to wszystko mu wyznać.

— Ach! gdybym ja śmiała to zrobić!?

— Nie rób tego, moja Gretchen, nawet nie próbuj! Nie pozwolę ci tego uczynić.

— Więc co mi pan radzi?

Milczałem. Po chwili zaczęła znowu:

— Nic mi pan nie mówi! Jestem tylko biedną dziewczyną, która boi się Boga i chciałaby wyrządzić przysługę tym dwom chłopczykom, nie robiąc przykrości państwu.

— A ja jestem mężczyzną, nie mającym nawet prawa ich kochać, mężczyzną, który nie może im oddać żadnej usługi!... Bo matka ich powinna być dla mnie świętą. Nie mogę być ich opiekunem nie hańbiąc ich matki tem.

LXXVII

Nie miałem odwagi dotrzymać mojej obietnicy. Obawiałem się, że mi sił zabraknie, gdy raz jeszcze zobaczę moich uczniów. Smutek ich przerażał mnie więcej i bolał, niż ich pieszczoty. Serce mi się krajało na myśl, co się z nimi stanie, jaki los ich czeka. Wyniosłem się na palcach, uprosiwszy poprzednio Gretchen, by rzeczy moje odesłała do Grand hotelu, gdzie chciałem przepędzić parę dni.

Ułożyłem sobie dziecinny plan zemsty nad hrabiną, oddając jej ostatnią usługę. Przekonany, iż książę Titiane chciał zrobić sobie nikczemną przyjemność tem, iż ją zgubi, postanowiłem wyzwać go na pojedynek i zabić, jeżeli będzie można.

Straszliwy nieład umysłowy namiętnością spowodowany! Czy kto uwierzyłby temu? Zawsze potępiałem pojedynki, jako zwyczaj głupi i barbarzyński. I oto sam, zabierałem się do niego, czekając tylko sposobności. Inne jeszcze szaleństwo: zachowałem niektóre przesądy z czasów uniwersyteckiego wychowania. Nie wierząc w sprawiedliwość ludzką, nie istnieje ona niestety, byłem przekonany, że przecież pewna logika kieruje sprawami ludzkiemi. Nie mogło być, według mojej wyobraźni, zbrodni bez kary, i byłem pewny, że książę musi być ukarany. Przekonany byłem, że go zabiję.

To też, dalekim będąc od wszelkiej obawy, nawet instynktownej, przy myśli o pojedynku, który sobie ułożyłem, cała moja uwaga zwrócona była na możebne jego skutki: proces, aresztowanie, konieczność wyjawienia powodów pojedynku. Tych za nic w świecie bym nie wyjawił. A to czyniło moje położenie nadzwyczaj trudnem wobec sekundantów, bez których obejść się nie mogłem.

Zastanawiając się nad tem, jakichby tu sobie wybrać, spotkałem na placu Opery dwóch młodych ludzi, których dawniej poznałem był w klubie.

— Szukałem was właśnie, — rzekłem — gdyż chciałem zażądać od was pewnej usługi. Istnieje jeden człowiek, który sprawia na mnie wrażenie zmory. Jest to książę Titiane. Nie cierpię go, sam nie wiem za co. Jego mina, sposób mówienia, patrzenia na ludzi, wszystko wydaje mi się znieważą. Nie ma w tem sensu, bez wątpienia, ale cóż na to poradzić! A przytem jestem tak nieszczęśliwy, iż spotykam go codziennie. Trzeba raz z tem skończyć! Niech się wyniesie z Paryża i nigdy tu nie wraca! Czy zechcecie zażądać tego od księcia? Jeżeli, jak przypuszczam, książę znajdzie żądanie moje niewłaściwem, to zaproponujcie mu by się bił ze mną. Będzie to zawsze satysfakcya, a wy oddacie mi tem wielką usługę.

Dwaj moi znajomi nie darmo byli Paryżanami. Domyśleli się oni natychmiast, że pod śmieszną bajką, jaką im opowiedziałem, musi się ukrywać jakaś „gruba" tajemnica. Ale z dyskrecyą, za którą zawsze wdzięczny im będę, nie okazali nawet zdziwienia, nie uśmiechnęli się, i zaraz wzięli się do dzieła. W godzinę potem przyszli do mnie do hotelu i zdali sprawę ze swego poselstwa.

Książę okazał się na wysokości wydarzeń. Zrozumiał doskonale „sprawę". Czekał na mnie w swoim ogrodzie. Nie pozostawało mi nic jak pójść tam... poszedłem.

Ale zdaje mi się, iż się omyliłem w przypuszczeniach moich, że pewna logika rządzi sprawami ludzkiemi, gdyż w chwili, gdy ze szpadą w ręku mówiłem sobie: Zabiję go! zabijam! przeklęty książę uchylił się nieco, a potem wywinąwszy się jak wąż przeszył mnie szpadą swoją na wylot.

LXXVII.

Nic prawie nie pamiętam z tego co zaszło w ciągu tygodnia po pojedynku. Sekundanci kazali mnie zawieźć do hotelu. Odwiedzali mnie codziennie. Doglądała mnie zaś jakaś stara kobieta. Lekarz nie okazywał niepokoju. Ciągle powtarzał, iż rana moja, chociaż ciężka, zdaje mu się, iż nie przedstawia niebezpieczeństwa — że żaden z ważniejszych organów nie jest uszkodzony, ale że muszę się bardzo oszczędzać, a przedewszystkiem mówić jak najmniej.

Dziesiątego dnia mogłem już siedzieć na łóżku. Kobieta, pilnująca mnie, właśnie uprosiła, by mogła oddalić się na parę godzin, pozostałem więc sam, pogrążony w smutnych myślach o moim wypadku.

Wtem otwarły się drzwi i na progu ukazała się Gretchen.

Widząc, że nikogo nie ma przy mnie, odwróciła się i ujrzałem za nią stojącą kobietę, czarno ubraną.

Kobieta ta podeszła bliżej, dała znak i Gretchen wyszła, zamykając drzwi za sobą. Wtedy kobieta szybko zerwała woal i zapłakana rzuciła się ku mnie.

Poznałem panią Chalis.

Nie pozwoliła mi wymówić ani słowa. Ujęła mnie za szyję i ściskając serdecznie, powiedziała:

— Nie mów pan nic! Choćby to co chcesz powiedzieć było najokrutniejszem, to jeszcze będzie niczem wobec tego co sama wyrzucam sobie od godziny. Dziś rano dopiero dowiedziałam się o tym okropnym pojedynku. Sekundanci pana tak się zarządzili, iż nawet w dziennikach nie było o nim najmniejszej wzmianki. Ale Titiane nie mógł utrzymać języka za zębami. Ach! co za cios! jakie nieszczęście! jakie wyrzuty sumienia! Krew za mnie przelana! A ja okazałam się tak okrutną względem pana! Przebacz mi! błagam! Brzydzę się sama sobą!

Łkała, klęcząc na obu kolanach przed łóżkiem i ukrywszy twarz w moich poduszkach. Ja, zwolna przebierając jej włosy, nic nie odpowiadałem.

Wtem nagle zerwała się i spojrzała dokoła.

— Czy tu panu wygodnie przynajmniej? — zapytała. — Czy nie brakuje czego? Kto pana dogląda?... Niestety! biedny chłopcze! Nie masz nic!

— Owszem! — odrzekłem. — Pozostało mi dwa tysiące franków ze sprzedaży moich mebli...

— Ależ ta rana! W jakim ona stanie?

— Zabliźnia się! Sądzę, że za miesiąc będę mógł wyjść.

Zdjęła rękawiczkę i przyłożyła rękę do moich ust.

— Nie mów pan. Powiedziano mi tam na dole, iż panu nie wolno mówić.

A gdym usuwał rękę, poczęła mi robić wyrzuty tonem rzewnym...

— Ależ milcz! Kocham cię! Ciebie tylko jednego kochałam! Wiem wszystko co możesz powiedzieć! To się na nic nie przyda! Milcz!

Potrafiłem wszakże przekonać ją, iż stan mój nie jest do tego stopnia niebezpiecznym, bym nie mógł wymówić kilku słów półgłosem. Wtedy usiadła tuż przy mojem łóżku, wzięła mnie za ręce i poczęła wpatrywać się rozczulona.

— Po co mnie pani ma jeszcze oszukiwać? — zapytałem. — Po co mówisz, że kochasz mnie? Ja tylko litość wzbudzam w pani. Książę...

Przerwała mi gwałtownie.

— Czyż on istnieje, ten Titiane? Czyż to człowiek? To parodya człowieka! błazen, którego można przyjmować, by się zabawić...

Odpowiedziałem jej z goryczą:

— Błazen! A jednak kochałaś go pani!

— Kochałam?... Nigdy!

Zacząłem znowu:

— Błazen, który panią uderzył!

— Co do tego, to sama winnam! Rzuciłam mu w twarz jego naszyjnik.

— Ale dlaczegóż przyjmowała go pani u siebie?

— Okazywał mi tyle przywiązania! O! dobrze jest ukarany w tej chwili!... Tylko co, przed chwilą, płakał, tarzał się u moich nóg! Mówił, że się zabije! Niech się zabije!... Przelał twoją krew! Wypędziłam go!

— Już raz mu pani przebaczyła!

— Wtedy nie zadał panu rany.

— I więcej nawet niż przebaczyłaś!

Znowu ręką mi usta zasłoniła.

— Nie mów mi pan o nim! — zawołała z płaczem. — Ja go nienawidzę!

Wszystko to zmięszało mnie. Zapytałem:

— Więc go już pani nie zobaczy więcej?

— Nigdy!... Zresztą dość już tego obmierzłego życia! Gdybyś pan wiedział, ile sobie robię wyrzutów! Jak sama sobą gardzę, brzydzę się! Jakże są nędzne te rozrywki! Jaka w nich próżnia! Zawsze jedno i to samo! Ach! gdy pomyślę, że miałam wszelkie warunki do tego, by być szczęśliwą! Jakież to zbawienne rady pan mi dawałeś! A ja tak mało z nich korzystałam! Niewdzięczna! Jeszcze miałam do pana urazę, za te rady!

Co na to odpowiedzieć? Wszystko to było tak nieprzewidziane! Jednak powziąłem postanowienie i należało dotrzymać go.

— Przebaczam pani wszystko! — rzekłem. — A pani ze swej strony niech mi przebaczy gorycz moich wyrzutów! Nigdy nie miałem na myśli nic prócz szczęścia pani. Niestety! nie moglibyśmy być razem szczęśliwi! Między nami istnieje myśl, plamiąca wszystko. Mąż pani jest dla mnie wyrzutem sumienia. I dla pani musi być tem także... Znowu zaczynam kazanie, powiesz pani! Przebacz mi! Widziałem śmierć zbliska. Okropnie to musi być umierać z niespokojnem sumieniem! Co my popełniliśmy jest błędem powszednim, u mężczyzn i kobiet. Ale to nie jest tłómaczeniem! Wierz mi pani, iż w tej chwili daję jej największy, jak tylko mogę, dowód przywiązania, bo kocham panią jak w pierwszym dniu, a wobec boleści jaką okazujesz, okropnie mi trudno mówić o rozstaniu. Dobro pani zmusza mnie do tego. Wszystko nas rozdziela. Mąż pani, sumienie nasze. Nie możemy cofnąć tego co się stało, starajmy się przynajmniej okupić to. Niech pomiędzy nami pozostanie choć jedna rzecz szczytna! Pięknie to jest przezwyciężyć się... Dlaczegóż nie zrobiliśmy tego wcześniej!...

Zemdlałem. Wskutek wysiłku i mówienia rana moja otworzyła się. Gdym przyszedł do siebie, cała pierś moja zalana była krwią. Hrabina i Gretchen starały się tamować ją swemi chustkami. Pokazałem im jak należy obandażować ranę.

Gdy się to zrobiło, podczas gdy Gretchen nacierała mi skronie octem, pani Chalis z przerażeniem spoglądała na swoje ręce.

Piękne te ręce były całe w krwi. Podczas gdy je myła, wszedł lekarz. Była to godzina, o której codzień przychodził. Ale pani Chalis, chociaż go znała, nie odwróciła nawet głowy. Doktor, zrazu zdziwiony, przyjął to obojętnie. Ukłonił się jak gdyby się po raz pierwszy znajdował w obecności hrabiny, potem przybliżył się do łóżka i mną się zajął.

Gdy wyszedł, pani Chalis rozmawiała z nim chwilę w korytarzu. Potem powróciła, powiedziała do Gretchen kilka wyrazów po niemiecku, uściskała mnie serdecznie i oddaliła się.

LXXIX.

Gretchen pozostała przy mnie do wieczora a potem przychodziła codziennie.

— Pani hrabina nie przychodzi tu, — mówiła — ponieważ lekarz jest zdania, że widok jej może panu zaszkodzić.

— Cóż robi?

— Płacze.

— Kogo widuje?

— Nikogo.

— A książę?

(Ciąg dalszy nastąpi).

Kronika tygodniowa.

Przekroczyliśmy już połowę kwietnia, obawa powrotu zimy przestała nas nareszcie niepokoić. Spełniła się stara przepowiednia domorosłych metereologów, mówiąca, że „kwiecień-plecień, bo przeplata trochę zimy, trochę lata“, równocześnie z żydowskiemi świętami ustały zimna, przypominające bardzo zimową porę, *aura* ociepliła się znacznie, ale tylko w porze południowej, bo wieczorami i rankami chłód stale dokucza w myśl starej zasady: „Do Świętego Ducha nie zdejmuj kożucha, a po Świętym Duchu chodź także w kożuchu“, o ile oczywiście jesteś w tem miłem położeniu, że posiadasz podobnie wytworne okrycie cielesnej swej powłoki. W okresie „Eismännerów“, świętych Pankracego, Serwacego i Bonifacego, t. j. w pierwszej połowie maja możemy się spodziewać jeszcze dotkliwych chłodów, w każdym razie odpada nadzieja, abyśmy się mogli wybrać w Zielone Święta sankami na Bielany. Obecne chłody niezbyt pomyślnie oddziałać muszą na budzącą się wegetacyę, choć zdania w tym kierunku są podzielone, bo jedni twierdzą, że chłód opóźni rozwój roślinności i z tego powodu wywodzą żale, drudzy natomiast cieszą się, że wytępi on wszelakiego rodzaju robactwo, dające się nam we znaki. Czy ci drudzy się nie mylą, nad tem warto by się zastanowić, bo przecież właśnie Rosya, odznaczająca się w Europie najbardziej chłodnym klimatem jest głównem gniazdem wylęgu wszelakiego robactwa, rozłażącego się stąd po całej Europie.

Polska, jako najbliższa sąsiadka Rosyi sowieckiej, narażoną jest najbardziej na tę inwazyę, nic też dziwnego, że zrywa z tradycyami staropolskiej gościnności i nie proszonych gości, którzy w jej granice wnoszą chaos i nieład, stara się usunąć, ale i w tym kierunku okazuje zbyt wiele ustępliwości, wychodzącej jej samej na niekorzyść. Gdyby przepisy o wysiedlaniu obcych chciano u nas przeprowadzić konsekwentnie z całą stanowczością, odbiłoby się to bardzo korzystnie na naszych stosunkach przedewszystkiem po miastach, gdzie przebywa aż nazbyt wiele osób najzupełniej tam niepotrzebnych.

Chłody wiosenne odbiły się także i na naszej polityce, która, o ile to spraw naszych wewnętrznych dotyczy, znajduje się obecnie pod znakiem tworzenia się większości parlamentarnej, o czem już wspominaliśmy w poprzedniej kronice. Po krakowskim zjeździe prawicowo-piastowskim rokowania toczą się w dalszym ciągu we Warszawie, ale do chwili, gdy to piszemy, nie doprowadziły jeszcze do żadnego pozytywnego rezultatu prawdopodobnie w myśl zasady, że „wielkie rzeczy tworzą się pomału“. Prawdę powiedziawszy, gdyby nawet przyszło do utworzenia owej większości, nie będzie ona niczem wielkiem, skoro ewentualna secesya kilkunastu ziemian z Poznańskiego grozi jej zupełnem unicestwieniem. Ci panowie nie godzą się na ustępstwa w zakresie reformy rolnej, poczynione przez sfery prawicowe na rzecz Piastowców. Jeśli się do tego doda, że i w łonie samego „Piasta“ nie wszyscy są za unią z prawicą, dojść się musi do przekonania, że owa większość obiecywana jest bardzo problematyczna, a także i z tego względu, iż opiera się na interesach partyjnych, a nie ogólnych. Kontrachenci porobili sobie wzajemne ustępstwa, nie wiadomo jednak, czy ogół wyjdzie na tem dobrze.

Między naszymi politykami zdania co do powstać mającej większości są rozmaite, zależnie od tego, do jakiego stronnictwa który z nich należy, nie można przecież odmówić racyi naprzykład marszałkowi Trąmpczyńskiemu, który chciałby widzieć większość naprawdę silną i dającą gwarancyę swej żywotności, co zdaniem jego, mogłoby nastąpić wówczas, gdyby do niej dało się wciągnąć narodową partyę robotniczą i Wyzwolenie. Lewica dość sceptycznie zapatruje się na ten sojusz prawicowo piastowski, ale dziwić się jej nie można, tracąc bowiem nadzieję współpracy z klubem Witosa, pozbywa się równocześnie ewentualnego utworzenia lewicowej większości.

W parze z nowem ukształtowaniem się stronnictw politycznych w Sejmie musiałaby pójść i rekonstrukcya dotychczasowego gabinetu, uważanego ciągle za tymczasowy. Kombinacyi na ten temat nie brak, a wszyscy *papabili* podnieśli nieco wyżej głowy, aby w ten sposób dać poznać narodowi, że gotowi są podjąć się zaszczytnej pracy dla jego dobra. Że zaś takich mężów u nas nie brak, przedewszystkiem zaś w obydwóch stronnictwach w grę wchodzących, nie można się dziwić, że mimo chłodu, nastrój w samej Warszawie jest naprężony, a termometr polityczny okazuje ciągłą zwyżkę.

W każdym razie utworzenie większości sejmowej podziała łagodząco na rozwydrzone do niemożliwości tak zwane mniejszości narodowe, które, korzystając z walk między prawicą a lewicą odgrywały rolę nietoperza z bajki, skłaniając się raz w tę, to znów w przeciwną stronę i ciągnąc z tego dla siebie coraz dalsze korzyści. Porastały one w pierze, ale równocześnie rosła także ich buta i zachłanność, uważając Polskę za państwo sezonowe, starały się wyzyskać czas jego istnienia i dla swych celów i korzyści, zaczęły się rządzić u nas, jak u siebie w domu. Utworzenie większości prawicowo-piastowskiej, choćby ona była nawet dość anemiczną początkowo, przytrze im nieco rogów i przypomni, jak się powinny zachowywać, jeśli ich członkowie chcą uchodzić za ludzi, roszczących sobie pretensye do zajęcia miejsca między narodami cywilizowanymi. Ciekawa to jednak rzecz, że właśnie ci sami, którzy zarzucają nam niekulturalne się z nimi obejście, swem zachowaniem się nie chcą nas w żaden sposób pouczyć, dokąd sięga ta kultura, w której obronie chcieliby stanąć.

Gdy pierwsze próby porozumienia się tak różniących się ze sobą dotąd stronnictw udadzą się, kto wie, czy Duch Święty nie zstąpi i na inne, zgromadzone w wieczerniku sejmowym i nie oświeci, że tylko zgodna praca wszystkich stronnictw prowadzić może do celu, a ustawiczne podstawianie sobie nogi wyrządza szkodę nie tylko ogółowi, ale i każdej partyi z osobna, przedewszystkiem zaś zniechęca do wybrańców naród, zdający sobie dobrze sprawę z tego, że tu idzie przedewszystkiem o własne interesy, a jego dobro spychane jest stale na plan ostatni.

Sejm ustawodawczy miał ciężkie zadanie do załatwienia, mozolił się nad niem całe cztery lata, a ze wszystkiem się nie uporał, bardzo wiele pozostawiając swojemu następcy, który ma nie tylko prowadzić w dalszym ciągu rozpoczęte przez niego dzieło, ale także i poprawiać to, co on spaczył lub wykoślawił. Teraz dopiero wyłażą, jak grzyby po deszczu najrozmaitsze usterki ustaw widocznie pospiesznie uchwalanych, a podyktowanych interesem partyjnym a nie ogółu. Aby maszyna państwowa mogła się swobodnie poruszać, trzeba te błędy usunąć i nierówności wygładzić, a do tego musi się mieć przedewszystkiem silną większość, by się na niej módz oprzeć, ludzi z inicyatywą, umiejących ją przekazać drugim, nadto zaś sporą nieraz dozę samozaparcia się, aby przyjąć na siebie winę, że nie wszystko, właśnie dzięki nam a nie komu innemu, nie idzie tak, jak życzylibyśmy sobie

Wobec tych kombinacyi politycznych, które są na ustach wszystkich polityków tak zawodowych, jak i amatorów, zejść oczywiście musiał na drugi plan Tutankhamon i jego zemsta na gwałcicielach jego wiecznego spokoju. Od chwili gdy angielskiej ekspedycyi udało się w Dolinie Królów natrafić na grobowiec Faraona, praca obydwu półkul zajmuje się tem bezsprzecznie dla nauki wielkiem odkryciem, a hotelarze w Luksorze, zacierają z radości ręce, każdy bowiem milioner, czy to europejski, czy to amerykański, uważa za punkt honoru zainteresowanie się tą sprawą i podróżuje do Egiptu. Jeszcze więcej rozgłosu nadała całej sprawie śmierć lorda Carnarvona, którą uważają jedni za wynik przypadku, inni za akt zemsty złośliwego Tutankhamona. Na ścianie grobowca znaleziono napis, ostrzegający gwałcicieli spoczynku wiecznego faraońskiego, że czeka ich za to straszna kara. Lord Carnarvon już nie żyje, właściwy kierownik ekspedycyi Carter ciężko zaniemógł, pielęgnuje go zaś wdowa po pierwszym i kto wie, czy nie będzie miała ochoty wyjść za niego zamąż, co może być także uważane za dalszy akt zemsty ducha zmarłego.

Przy tej sposobności dowiedzieliśmy się, że w Ameryce żyje wdowa po zmarłym przed trzema tysiącami lat Tutankhamonie, nosząca dziś nazwisko pani Mac Cormick. Oglądając illustracye przedmiotów, znalezionych w grobie Faraona, przypomniała sobie, że na podobnem krześle, jakie się tam znajdowało, niegdyś siadywała, wysnuła zatem wniosek, że w zaraniu swego prabytu musiała być żoną zmarłego. Czy z tego powodu nie zgłosi pretensyi do spadku po nieboszczyku mężu, nie wiadomo. Podobno i w Europie znalazło się już kilka wdów obznajmionych dokładnie z temi meblami, każda z nich twierdzi, że przed tysiącami lat siadywała na nich, jako pani domu, żadna natomiast nie chce się przyznać, że wynosiła jedo do trzepania jako pokojówka.

Egiptolodzy, choć śmierć lorda Carnarvona i choroba Cartera poszła im po nosie, są w siódmem niebie i psują niezliczoną moc papieru i atramentu na zastanawianie się nad znaczeniem owego odkrycia, nie brak jednak głosów, surowo potępiających angielską ciekawość, niepokojącą nawet nieboszczyków. I jednym i drugim przyznać się musi nieco racyi. Nauka z odkrycia w Dolinie Królów niewątpliwie skorzystała, niektóre jednostki zrobiły na niem nawet i materyalny interes, z naszem pojęciem o kulcie dla zmarłych niezupełnie się przecież zgadza wdzieranie się do wnętrza grobowców, choćby nawet faraońskich i pochodzących z przed lat kilku tysięcy. Bo i cóż powiedzielibyśmy na to, gdyby jaki uczony lord wybrał się do Krakowa i rozkopał choćby tylko kopiec Krakusa w poszukiwaniu za zabytkami lat minionych. Nazwalibyśmy to profanacyą grobu, kto wie, czy władze nie wystąpiłyby z urzędu przeciw takiemu ciekawskiemu, chociaż u nas spoczynek wieczny, o ile się nie jest cmentarnym kamienicznikiem, j. j. nie posiada się rodzinnego własnego grobu, z urzędu oblicza się na lat dwadzieścia zaledwie i po tym terminie przekopuje się kwatery cmentarza, dając im nowych lokatorów. Z tego punktu wyjścia przyznać trzeba, że Tutankhamon wyspoczywał się dość przez lat z górą trzy tysiące, nie powinien więc mieć urazy do lorda Carnarvona i jego pomocników, że go odwiedzili. Gdyby każdy nieboszczyk chciał się mścić na tych, którzy zakłócają jego wieczny spoczynek, ojcowie miasta, jako gospodarze cmentarza miejskiego, nie powinniby mieć ani chwili spokoju ani w dzień ani w nocy, gdy oni znani są z tego, iż błogiego snu nic im nigdy nie przerywa, nieraz nawet podczas posiedzeń.

Nie jest zatem prawdą, co mówią w mieście, że ustąpienie prezydyum Rady Miejskiej stoi w związku z odkryciem grobu Tutankhamona, jeśli bowiem Kraków w samej rzeczy zmieni dotychczasową formę rządów i otrzyma komisarza rządowego, będzie to następstwem jedynie nieopatrznej gospodarki dotychczasowego radzieckiego zespołu, nie liczącego się z duchem czasu i myślącego, że i teraz pójdzie wszystko tym samym trybem, jak to bywało za czasów nieodżałowanej pamięci króla Cwieczka, kiedy każdy z radców dbał tylko o to, aby dobrze było jemu i jego najbliższym, a ojcostwo miasta było w niektórych rodach dziedziczne i przechodziło z ojca na syna. Dobrych chęci nie brak może naszym ojcom miasta, ale one nie wystarczą nawet do brukowania ulic, jak o tem świadczą tak liczne na nich dziury i wyboje. Na miejską gospodarkę narzekano u nas zawsze, ale widocznie nigdy nie była ona tak fatalną, jak jest obecnie, choć źródła dochodów miejskich zwiększają się stale z dnia na dzień, ale w każdym razie nie w tym stosunku, jak rozchody. Warszawa nawołuje naszych ojców miasta do robienia oszczędności, ale sama daje im zły przykład, nie można się też dziwić, że Kraków, idąc za nim, widzi z przerażeniem coraz większą dziurę w swym budżecie. Załatać jej czem niema, żyje się zatem pożyczkami, ale te trzeba kiedyś przecież zwrócić, ów komisarz rządowy, którego obiecują Krakowowi, miałby być zatem Mojżeszem, wyprowadzającym dzieci Izraela z niewoli egipskiej.

O tyle zatem ewentualnie nadanie Krakowowi rządów komisarza miałoby coś wspólnego z egipskiemi awanturami w których grę wchodził Tutankhamon, i jego dotąd żyjące żony, lord Carnarvon, Carter i inni ich wspólnicy, na których skóra drży z przestrachu. Kraków i obywatele jego na zmianie formy rządu wyszliby prawdopodobnie nie najgorzej, dłuższe zaś życie, raczej wegetacya, w dotychczasowych warunkach pomyśleć się nie da, prędzej bowiem, czy później doprowadzić musi do katastrofy i ruiny.

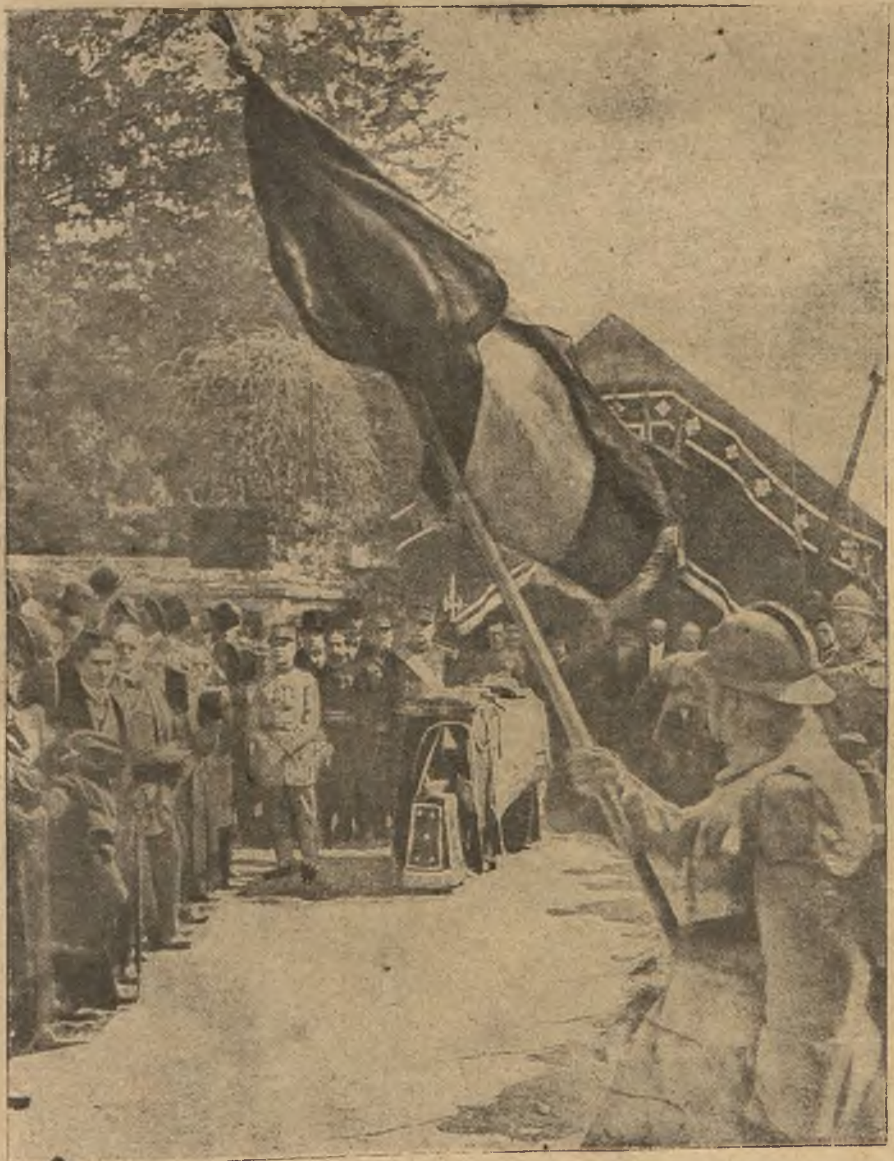


Nad grobem Sary Bernhardt: Sara Bernhardt w roli Roksany w „Adriannie Lecouvreur" (zdjęcie z r. 1887.)

a jeszcze świetniejsza w wykonaniu. Pod tym względem reżyserya i aktorzy wyhaftowali na kanwie bajki p. Hertza wprost arcydzieła. Trudno sobie wyobrazić lepsze kreacye, jakie otworzyli pp. Modzelewska (kwoka), p. Grolicki (kogut), Klońska (indyczka), Białkowski (bażant złocisty), Mazarekówna (przybłęda), Sokolska (kaczka), Zalewska (gęś) i wreszcie Bracka (papuga) „ten — jak słusznie pisze o niej p. K. H. Rostworowski — wcielony geniusz groteski". Jej Papuga była wprost niezrównaną. A jeśli do tego dodamy przepyszną „arystokratyczną" Indyczkę, świetną Kwokę i kapitalnego Koguta — nie trudno się dziwić, że nawet nieme sceny wywoływały salwy śmiechu i burze oklasków. A jeśli do tego dodamy oryginalne kostymy projektu H. Grussa z warszawskich teatrów miejskich i nowe dekoracye w opracowaniu pp. Zbigniewa i Andrzeja Pronaszków — otrzymamy całość niezmiernie interesującą, która ma zapewnione powodzenie na scenie krakowskiej.



Nad grobem Sary Bernhardt: Kondukt pogrzebowy przed teatrem jej imienia.



Zgon bohatera z nad Marny: Pogrzeb marszałka Maunoury na cmentarzu w Mer (dep. Loary) wobec marszałków Joffre'a i Focha, jen. Mangina, prefekta Loary i in.



Ofiary nauki: Uczony francuski Karol Vailant, który skutkiem działania radium stracił obie ręcę, u łoża dra Soreta po odjęciu mu palca u prawej ręki.



Z desek teatralnych: Edmund Minowicz, reżyser Operetki krakowskiej.

Nad grobem Sary Bernhardt.

Od czasu pogrzebu Wiktora Hugo nie uczcił Paryż niejednego ze swoich wielkich umarłych w sposób tak uroczysty, jak Sarę Bernhardt. To nie był pogrzeb, to była apoteoza — jak pisze jeden z korespondentów. Wielka artystka spoczęła w trumnie z drzewa różanego, którą kazała sobie zrobić jeszcze w młodym wieku. Woziła ją ze sobą, w czasie wszystkich swych podróży artystycznych, ponieważ zawsze myślała o śmierci. W swej białej, jedwabnej fałdzistej sukni, z rozpuszczonemi, bujnemi, srebrno-siwemi włosami, wyglądała Sara prawie, że młodo.

„Żadnych mów na moim pogrzebie — powiedziała Sara Bernhardt przed śmiercią — tylko dużo, dużo kwiatów". I Paryż nie pozostał głuchy na jej ostatnią prośbę. Pięć olbrzymich wozów uginało się pod ich ciężarem.

Miasto Paryż urządziło pogrzeb na swój koszt z nadzwyczajną wspaniałością. Już wczesnym rankiem o godzinie siódmej Boulevard Pereire pełen był ludzi. Trumna z różanego drzewa została z jej zwłokami uroczyście przewieziona do kościoła św. Magdaleny. Ulice były zamknięte przez policyę, która tylko z trudem mogła powstrzymać tłoczące się masy, liczące z górą sto tysięcy ludzi. Do kościoła mogli wejść tylko zaproszeni przez municypalność paryską i przez rodzinę. Kościół wypełnili po brzegi przedstawiciele sztuki, literatury i polityki. Gdy duże organy zaintonowały „Śmierć Azy" Griega, zapanował rzewny nastrój. Ceremonie kościelne trwały do godziny pierwszej, poczem kondukt pogrzębowy ruszył z miejsca.

Przed karawanem pięć olbrzymich wozów, które formalnie trzeszczą pod nawałem wieńców i kwiatów. Obok karawanu szły sieroty po artystach z palmami w ręku. Za katafalkiem rodzina i najbliżsi przyjaciele. Potem cały Paryż, sławny i nieznany Paryż. Cała droga ciągnąca się kilka kilometrów otoczona z obu stron tłumami, które z trudem może policya utrzymać. Okna przepełnione. Drzewa, pomniki, płoty, wszystko roi się od ludzi. Przejmującą była chwila, gdy kondukt na chwilę zatrzymał się na placu przed teatrem Sary Bernhardt. W oknie obok dwoje dzieci portyera głośno szlochały.

W końcu kondukt pogrzebowy zbliża się do Pere-Lachaise, gdzie setki tysięcy ludzi napełniło wszystkie przejścia i aleje. Stanęliśmy przed zwykłym grobowcem rodzinnym, na którym wyryte słowo: — Bernhardt. Trumnę opuszczają pod masą kwiatów. Ksiądz odmawia ostatnie modlitwy, kwiaty pokrywają wnet grób i całe otoczenie. Tłumy zaczynają powoli się rozchodzić.



Z desek teatralnych: Edmund Minowicz w roli księcia w operetce „Wesoły Augustynek".

Z desek teatralnych.

Sympatyczny reżyser naszej Operetki p. E. Minowicz wstąpił na scenę w r 1913 w Teatrze pol. w Przemyślu. Karyerę rozpoczął w dramacie rolą Stańczyka i Jaśka w „Weselu" Wyspiańskiego, wkrótce zyskał uznanie i sympatyę wszystkich. Z celniejszych ról grał podówczas Wicka w „Wicku i Wacku" Przybylskiego — Fikalskiego w „Domu otwartym" Motylińskiego, w „Klubie kawalerów", Jurkiewicza w „Małym domku" Rittnera i t. d., a nawet „Kordyana". Równocześnie grywał w wodewilu i wówczas już wykazał niepospolity talent i zacięcie, które to zalety zabłysły w całej okazałości z chwilą gdy przeniósłszy się do krakowskiego Teatru miejskiego, znalazł właściwe pole pracy w operetce. Humor, temperament, głos niezwykle sympatyczny. muzykalność i inteligencya oto cechy, które charakteryzują tego wybitnego artystę, obchodzącego właśnie w tym roku 10-lecie pracy artystycznej.

Od lat 3-ch poświęcił się żmudnej pracy reży-



Nad grobem Sary Bernhardt: Kondukt pogrzebowy wyrusza z kościoła św. Magdaleny w Paryżu.

KONKURS NAJPIĘKNIEJSZYCH KOBIET W POLSCE



N. Wiczówna (Kraków).



Aldona Zabłocka, (pseudonim) Warszawa.



Stefania Ryzińska (Lwów).

serskiej i wystawił cały szereg operetek, które dzięki specyalnemu jego systemowi cieszyły się nadzwyczajnem powodzeniem czego dowodem grana ostatnio „Bajadera". Trudno wyliczyć najlepsze jego kreacye, gdyż w każdej jest niezrównany, zaznaczamy jedynie szerokość skali i różnorodność jego talentu. Stary Weps w „Ptaszniku z Tyrolu" — Wun Hay w „Gejszy", książę w „Wesołym Augustynku" to role biegunowo odległe od tych w jakich go codziennie widzi i oklaskuje nasza publiczność tj. w rolach młodych „bonvivantów", a jednak w niczem im nie ustępują.



Z desek teatralnych: Edmund Minowicz w roli Wun-Haya w operetce „Gejsza".

Kult piękna jest jednym z ważniejszych czynników w duchowym rozwoju ludzkości. Jego dziełem jest świat sztuki — artystyczny dorobek wieków. Ale sztuka jest tylko indywidualnem odbiciem i ujęciem piękna w naturze. Piękno to odnajdujemy i podziwiamy we wszystkich zjawiskach i tworach przyrody, a przedewszystkiem u królowej stworzenia — kobiety. Twarz kobieca — ten najwdzięczniejszy temat dla artystów, tworzących poematy malarskie, jest w naturze najbardziej bezpośrednim wyrazem piękna. Tutaj natura idzie w zawody ze sztuką. Dlatego też nie są pozbawione znaczenia artystycznego urządzane we wszystkich krajach i cieszące się ogromnem powodzeniem konkursy piękności dla kobiet. Takie konkursy, urządzone w Krakowie na kilku balach podczas ubiegłego karnawału, wzbudziły duże zainteresowanie, choć były tylko ograniczone do szczupłego grona uczestniczek zabawy. To zachęciło nas do ogłoszenia

KONKURSU NAJPIĘKNIEJSZYCH KOBIET W POLSCE

Panie pragnące stanąć do tego konkursu zechcą przesłać pod adresem Redakcyi „Nowości Illustrowanych", Kraków ul. Kazimierza Wielkiego 95. swą **fotografię z własnoręcznym podpisem.** (Fotografie nadesłane przez osoby trzecie nie będą uwzględnione). Nadsyłane fotografie będą oddane do oceny specyalnej komisyi artystycznej, a ta zaopiniuje, które z nich zostaną zamieszczone w „Nowościach Illustrow.„ **w gronie najpiękniejszych kobiet.** Podobizny te będziemy zamieszczać w miarę ich napływania w każdym numerze. Po wyczerpaniu wszystkich nadesłanych fotografii, nastąpi **rozstrzygnięcie konkursu przez głosowanie Czytelników „Nowości Illustrowanych".** Będą **trzy nagrody** 1) roczna prenumerata „Nowości Illustrowanych", 2) półroczna i 3) kwartalna. Nadto wszystkie nagrodzone panie otrzymają **artystycznie wykonane dyplomy pamiątkowe.** — Termin głosowania i jego warunki podamy później, obecnie zaś zapraszamy panie do wzięcia udziału w konkursie i nadsyłania nam swych fotografii.



Z sali koncertowej: Alma Moodie — (Koncert w piątek 20 b. m. w sali Starego Teatru).



Z sali koncertowej: Józef Śliwiński — (Koncert w niedzielę 22 b. m. w sali Starego Teatru).



Z sali koncertowej: Mieczysław Münz wystąpi z koncertem w sali St. Teatru we czwartek dn. 26 b. m.

Jubileusz dyr. Opery warszawskiej.

(Do illustracyi na str. 3).

Opera warszawska obchodzi jubileusz trzydziestoletniej pracy śpiewackiej swego naczelnego reżysera dyr. Henryka Kowalskiego, jednego z najwybitniejszych basistów polskich. Radomszczanin po ukończeniu w Rogawinie gimnazyum, odbywa wstępne studya wokalne u Sterlinga w Warszawie, a uzupełniwszy je u Leoniego w Medyolanie, debiutuje w maju 1893 r. w rzymskim „Teatro Nacionale" jako Baltazar (Favoritte), z powodzeniem śpiewając na scenach półwyspu apenińskiego. Zaangażowany do Opery lwowskiej, dźwiga tu partye repertuaru basowego.

Przeniósłszy się do Warszawy śpiewa tu do r. 1907 tj. do zamknięcia Opery rządowej. W czasie tym przenosi się do dramatu, zdobywając i w tym zakresie sztuki poważne stanowisko reżysera Teatru Rozmaitości, gdzie daje szereg świetnych kreacyi. Praca ta zjednała mu stanowisko inspektora szkoły aplikacyjnej dramatu i komedyi. Po ewakuacyi obejmuje sekretaryat Zrzeszenia artystów T. Rozmaitości, zaś w r. 1916 przyjmuje stanowisko głównego reżysera Opery warszawskiej.

Z SALI KONCERTOWEJ.

W drugiej połowie kwietnia staraniem „Krak. Biura Konc. E. Bujański" odbędą się w Krakowie, w sali Starego Teatru cztery wspaniałe koncerta, a mianowicie:

We czwartek 19 b. m. wystąpi słynny „Kwartet" czeski Sevčika, zajmujący w szeregu kwartetów europejskich pierwszorzędne miejsce. Zaletą Kwartetu Ševčika jest to, że gra zarówno dobrze repertuar klasyczny, jak i nowoczesny.

W piątek 20 b. m. wystąpi Alma Moodzie, świetna skrzypaczka, która swą grą artystyczną, pozbawioną wszelkiej afektacyi zajęła w świecie muzycznym nie tylko w Ameryce i Australii, ale także i w Europie zaszczytne miejsce. Koncert ten zgromadzi niewątpliwie tłumy publiczności.

W niedzielę 22 b. m. koncertować będzie po dwuletniej nieobecności w naszem mieście niezrównany nasz mistrz Józef Śliwiński.

We czwartek 26 b. m. wystąpi Mieczysław Münz, Krakowianin, który odniósł w Ameryce wprost niebywały sukces, a którego grę prasa tamtejsza porównała jednomyślnie z grą mistrza tej miary, co I. Paderewski.

Zgon bohatera z nad Marny.

(Do illustracyi na str. 9).

W dniu 2 kwietnia b. r. złożono na cmentarzu w Mer (departament Loary) na wieczny spoczynek zwłoki jednego z najdzielniejszych jenerałów francuskich, marszałka Maunoury. Przyczynił on się znacznie do osiągnięcia przez oręż francuski pomyślnego rezultatu w krwawych zmaganiach nad Marną, grupa pozostająca pod jego dowództwem po nieopisanych wysiłkach, prowadzonych ze zmiennem szczęściem przeciw liczebnie silniejszemu nieprzyjacielowi, śmiałym atakiem na skrzydło armii jenerała Klucka pod Qurq rozstrzygnęła walkę na korzyść Francuzów.

W jakiś czas potem raniony w twarz odłamkiem pocisku nieprzyjacielskiego, gdy znajdował się w pierwszych rowach strzeleckich, utracił wzrok, w następstwie czego wycofać się musiał z czynnej służby wojskowej, a śmierć zaskoczyła go w ostatnich dniach marca w wagonie pociągu kolejowego na linii Paryż—Orlean.

Marszałek Maunoury cieszył się w kraju swym zasłużonem uznaniem, które zdobył sobie jako dzielny żołnierz i prawy obywatel. Urodzony w r. 1847, po ukończeniu studyów technicznych wstąpił w szeregi armii francuskiej i brał już udział w wojnie francusko-niemieckiej w r. 1870—71. Kolejno przeszedł wszystkie stopnie hierarchii wojskowej, marszałkiem Francyi zamianowano go już po śmierci.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: Rudolf Szenewicz. Klisze własnego zakładu. Druk. D. E. Friedleina, pod zarz. L. Gronusir